

Zapach Paryża, chłód Krakowa



Cień altany dawał schronienie, ale nie przynosił ulgi. Klara stała nieruchomo, a każda sekunda milczenia była cięższa od poprzedniej. Julian zrobił krok w jej stronę. Pachniał inaczej niż w Warszawie – nie tytoniem i starą gazetą, ale czymś ostrym, cytrusowym, co Klara instynktownie nazwała w myślach „wolnością”.

– Przyjechałeś – odezwała się wreszcie, a jej własny głos wydał jej się obcy, stłumiony przez gęste liście winorośli.

– Musiałem. – Julian zdjął jasny kapelusz i obracał go w dłoniach z nienaturalną dla niego nerwowością. – Listy to za mało, Klaro. Paryż jest piękny, ale jest też przerażająco pusty, kiedy nie ma komu opowiedzieć o barwie nieba nad Sekwaną.

Klara uśmiechnęła się smutno, ale nie podniosła wzroku.

– Klaro – powtórzył, a w jego głosie nie było już dawnej pewności siebie, która tak irytowała ją w Warszawie. – Milczysz, jakbyś zobaczyła ducha. Czy Paryż aż tak mnie zmienił?

Klara odetchnęła głęboko, starając się opanować drżenie rąk.

– Paryż może i cię zmienił, Julianie, ale twoje nawyki pozostały te same. Pojawiasz się nagle, oczekując, że świat zatrzyma się w miejscu, by podziwiać twój powrót. A świat... świat w Krakowie nie stoi w miejscu. On zastyga w innych formach.

Julian uśmiechnął się blado, wciąż obracając w dłoniach kapelusz.

– Nie oczekuję podziwu. Oczekuję jedynie, że pozwolisz mi spłacić dług, który u ciebie zaciągnąłem. Baron powiedział mi, że wiesz o wszystkim. O tym, co zrobiłem z twoim wekslem.

Klara podniosła głowę i tym razem spojrzała mu prosto w oczy. Jej spojrzenie było ostre, zahartowane przez miesiące samotności i obserwowanie cierpienia Rozalii.

– Tak, wiem, że kupiłeś sobie za niego wolność. Pięć tysięcy rubli za prawo do niekochania Natalii Pietrow. To wysoka cena za spokój sumienia, ale niska za życie, które mogłeś zmarnować. Tylko dlaczego musiałeś za

to zapłacić pieniędzmi mojego ojca? Dlaczego moje poświęcenie stało się twoją kartą przetargową?

Julian podszedł bliżej, tak blisko, że poczuła zapach jego paryskich perfum – nutę bergamotki zmieszaną z gorzkim zapachem dalekiej podróży.

– Bo tylko ty rozumiałaś, co oznacza niewola konwenansu. Kiedy darowałaś mi ten dług w Warszawie, dałaś mi coś więcej niż pieniądze. Dałaś mi dowód, że istnieje miłość, która nie szuka zysku. Wykorzystałem ten dokument brutalnie, przyznaję. Pokazałem go Pietrowom, by udowodnić, że nie jestem żebrakiem, by rzucić im w twarz, że nie potrzebuję ich posagu. Gdybym tego nie zrobił, nigdy nie stanąłbym przed tobą jako człowiek, który należy tylko do siebie.

– Należysz do siebie, ale czy potrafisz należeć do kogoś jeszcze? – zapytała cicho. – Bo widzisz, Julianie, w tym samym czasie, gdy ty „zrywałeś pęta” w Paryżu, tutaj, w tych dusznych krakowskich pokojach, rozgrywał się inny handel. Moja siostra, Rozalia, zgodziła się być „drugą w sercu” człowieka, którego ja odrzuciłam – zdobyła się na szczerość. – Żyjemy w domu zbudowanym na kłamstwie, które ty nazywasz wolnością.

Julian gwałtownie złapał ją za dłoń. Jego palce były chłodne.

– Dlatego tu jestem! Wynająłem pokój przy Rynku. Nie chcę już uciekać. Chcę tu zostać, pisać, być blisko ciebie. Daj mi rok. Tylko jeden rok, bym mógł udowodnić, że nie jestem już tym próżnym chłopcem z Warszawy. Uporządkuję resztę spraw w Paryżu, zamknę tamten etap i wrócę na stałe.

Klara wyrwała rękę. Śmiech, który wydobył się z jej gardła, był krótki i pozbawiony wesołości.

– Rok? Julianie, ty wciąż mówisz jak literat: „Daj mi rok”, „Poczekaj na mnie”. A co z moim czasem? Co z życiem, które płynie, gdy ty szukasz natchnienia nad Sekwaną? Aleksander Wolski też chciał „spróbować jeszcze raz” z moją siostrą, też prosił o czas. I wiesz co? Prawda może ich zniszczyć. Bo serce nie słucha terminów, które wyznacza rozsądek czy kalendarz.

– Wolski to rzemieślnik paragrafów, a ja...

– A ty jesteś dłużnikiem, który prosi o kolejny kredyt! – ucięła ostro. – Chcesz, bym znów na ciebie czekała? By twoje „może” i „potem” wypełniło moje dni? Spójrz na ten ogród. Baron choruje, choć udaje, że tylko odpoczywa. Moja siostra płacze za zamkniętymi drzwiami biblioteki, bo nie potrafi żyć z człowiekiem, który patrzy na nią, a widzi mnie. A ty stoisz tu, w swoim gołęmbim garniturze i prosisz o rok?

Julian spuścił wzrok. Na jego skroniach pojawiło się więcej siwizny niż ostatnio.

– Przyjechałem, bo nie mogłem inaczej. Jeśli mi odmówisz, wrócę do Paryża, ale będę wiedział, że przynajmniej raz w życiu byłem szczerzy do bólu.

– Bądź więc szczerzy do końca – powiedziała Klara, idąc w stronę wyjścia z altany. – Jeśli naprawdę chcesz mnie widywać, to wiedz jedno: w tym mieście nie ma już miejsca na romanse w ukryciu. Jeśli nie odejdziesz, będziesz musiał patrzeć na ruinę, którą zostawiłeś za sobą w Warszawie. I na kobietę, która nie jest już twoją żoną, ale kimś, kto codziennie rano musi decydować, czy ważniejsze jest jej szczęście czy spokój jej matki i siostr. – Zatrzymała się i odwróciła przez ramię. – Zostań w Krakowie, jeśli musisz. Ale nie obiecuj mi przyszłości, skoro wciąż nie spłaciłeś przeszłości. Nie obiecuj, jeśli nie jesteś w stanie mi jej dać.

Julian został w altanie sam otoczony zapachem róż, który wydał mu się mdły i natrętny. Patrzył na te kwiaty z ironią – przypominały mu warszawskie salony: piękne z wierzchu, a w środku pełne zepsucia. Usiadł na kamiennej ławie i poczuł pod dłońmi chłód wieczoru.

Przyszedłem jak żebrak – pomyślał, a ta myśl zapiekła go bardziej niż chłód. Julian Korzyński, lew salonowy, arbiter elegancji, stał przed córką skromnego lekarza i prosił o jałmużnę z czasu. A ona?

Ona patrzyła na niego tak, jak on niegdyś patrzył na niedoskonałe rękopisy młodych poetów – z chłodną, analityczną wyższością.

– Moda na Julianów najwyraźniej przeminęła w tym sezonie – mruknął do siebie, wycierając pot z czoła.

Chrzęst żwiru wyrwał go z zadumy. Baron Dobrzyński szedł powoli, niosąc swoje ciało tak ostrożnie, jakby było kruchym, drogocennym naczyniem, które lada chwila może pęknąć. Usiadł obok Juliana, stękając cicho.

– I co, mój drogi Paryżaninie? – zapytał baron, nie patrząc na niego. – Okazało się, że Kraków ma twardszy bruk niż bulwary nad Sekwaną?

– Okazało się, baronie, że w Paryżu kupiłem wszystko oprócz powrotnego biletu do serca Klary – odparł Julian, siląc się na dawny ton, ale głos mu zadrżał.

Baron skinął głową.

– Kobiety takie jak Klara nie są jak sklepy bławatne, w których można wymienić towar, bo przestał pasować. One są jak... stare kroniki. Raz zapisane kłamstwo zostaje w nich na zawsze. Ale panu nie wolno teraz uciekać.

– Mam zobowiązania, także wobec pana, kontrakty... – zaczął Julian, ale baron uderzył laską o ziemię.

– Zobowiązania! – zachnął się starzec. – Pan mówi jak subiekt, który boi się kary od pryncypała! W życiu

są tylko dwa prawdziwe zobowiązania: wobec własnego honoru i wobec miłości kobiety, którą się skrzywdziło. Niech pan nie prosi jej o rok. Rok to wieczność dla kogoś, kto już raz został porzucony. Niech pan po prostu... będzie. Jak ten dąb. Niech pan zapuści korzenie w tym krakowskim błocie, jeśli trzeba. Bo czas, Julianie, to jedyna waluta, której nie można sfałszować. Ja swój roztrwoiłem na czekanie. Niech pan nie będzie mną, człowiekiem, który liczy stracone sezony zamiast przeżytych dni.

Dorożka turkotała po bruku, a Klara patrzyła na Kraków, który w zachodzącym słońcu wyglądał jak makietka z teatru cieni. Czuła się wyzuta z sił. Spotkanie z Julianem nie było wybuchem, na który czekała – było raczej powolnym ulatnianiem się gazu, który groził uduszeniem. „Daj mi rok” – to zdanie brzmiało w jej głowie jak kiepski żart, puste i lśniące jak paryska biżuteria.

– Czasem pamięć jest gorsza od zapomnienia – odezwał się baron, gdy dorożka stanęła przed kamienicą przy Floriańskiej – ale tylko ona czyni nas ludźmi.

Klara wysiadła i poczuła na twarzy wilgotne powietrze. Weszła po schodach, a echo jej kroków brzmiało

jak oskarżenie. Pamiętała przedwczorajszą rozmowę z Aleksandrem. „Zapewniam cię, że zrobię wszystko, żeby dom i tak należał do was. Nawet jeśli nie spełnimy warunków” – powiedział. To było szaleństwo. Aleksander ryzykował swoją karierę i honor, byleby one nie zostały na bruku, choć on sam nie miał z tego zyskać nic poza czystym sumieniem. Obiecała mu, że „spróbuje wyjaśnić”, że „porozmawia z Rozalią”. Wtedy wydawało się to aktem miłosierdzia, teraz, po spotkaniu z Julianem, czuła się jak hipokrytka.

W domu przywitał Klarę swąd spalenizny. Ruszyła prosto do kuchni, gdzie zastała Helenę, która z twarzą upudrowaną pośpiesznie uderzała łyżką o brzeg wazy z taką furją, jakby wybijała werbel do ataku.

– Marylo! Czy ja muszę uczyć cię wszystkiego od nowa? Ryba ma być zimna, a serca... serca moich córek najwyraźniej mają być z lodu! – krzyknęła, a jej głos osiągnął rejestry zarezerwowane dla katastrof narodowych.

Zauważywszy Klarę, westchnęła ciężko i odłożyła łyżkę. Po chwili ścisnęła już w jednej dłoni szklanekę wody sodowej, jakby to była ostatnia deska ratunku na wzburzonym morzu domowych nieszczęść, a w drugiej kawałek twardego, czerstwego piernika, który miał być marną rekompensatą za spaloną pieczeń.

– Gdzieś ty była?! – zawołała. – Maryla kompletnie straciła głowę, spaliła pieczeń, a Rozalia... Rozalia

oszałała! Znowu nam to robi! Najpierw zamknęła się w bibliotece, a teraz siedzi u siebie i nie wpuszcza nawet mnie!

Helena właśnie uniosła szklankę do ust, by ukoić wyschnięte od krzyku gardło. Słowa o „posiadłości pod miastem” trafiły w nią w najgorszym możliwym momencie. Wzięła potężny łyk wody i nagle znieruchomiała. Jej oczy rozszerzyły się, przybierając barwę i kształt dwóch mocno zdziwionych guzików. Przez kilka uderzeń serca trzymała płyn w policzkach, nadymając się niczym egzotyczna ryba, której nagle zabrakło oceanu. Chciała krzyknąć: „Pod miastem?!”, ale każda próba wydobywania głosu groziła widowiskowym potopem na świeżo nakrochmalony gorset.

W kuchni zapadła cisza przerywana jedynie tykaniem zegara i stłumionym bulgotem w gardle Heleny. W końcu matka zdołała przełknąć wodę z głośnym, bolesnym *khy-khy*.

– Pod miastem?! – wychrypiała, ocierając usta wierzchem dłoni z gracją. – Baron przysłał mi bilecik, że zabiera cię do Biblioteki Czartoryskich, byś pomogła mu w jakichś... ramotach*! Ani słowa o żadnych wycieczkach na wieś! Czy ty wiesz, co

* Ramota – przestarzały, pozbawiony większej wartości utwór literacki lub stara, zakurzona i bezużyteczna księga.

ludzie powiedzą? Panna z dobrego domu w ustronnej rezydencji? Woda... woda mi stanęła w poprzek przez twoją lekkomyślność! A baron? Już ja sobie z nim porozmawiam.

– Biblioteka Czartoryskich... – szepnęła Klara, uśmiechając się pod nosem. – Więc tak to ujął?

Nie mając siły na dalsze tłumaczenia, odwróciła się na pięcie i wyszła z dusznej kuchni do sieni. Helena, wciąż kipiąc oburzeniem, natychmiast ruszyła jej śladem. Zanim jednak Klara zdążyła zdjąć kapelusz i odpowiedzieć na atak matki bardziej dosadnie, na piętrze z przeciągłym skrzypieniem otworzyły się drzwi.

Obie kobiety odruchowo uniosły głowy. Na szczycie schodów ukazała się Rozalia. Jej postać, zwykle tak miękka, wydawała się teraz wykuta z marmuru. Zaczęła schodzić w dół – powoli, z chłodną, posągową godnością, a każdy jej krok odbijał się głuchym echem w napiętej ciszy. Rozpuszczone włosy opadały na ramiona niczym czarny całun – uczesanie w tych czasach niemal skandaliczne.

– Mamo, dość! – powiedziała z półpiętra, nie przyspieszając kroku, a jej głos był tak chłodny i gładki jak marmur krakowskich nagrobków. – Klara wróciła. Musimy porozmawiać. Bez świadków i bez kłamstw, które podajesz nam zamiast kolacji.

Helena Zawadzka, która po raz kolejny uniosła do ust szklankę z wodą sodową, by ukoić nerwy po rewelacjach Klary, zamarła. Słowa córki uderzyły w nią z siłą, której zupełnie się nie spodziewała po „łagodnej Rozalii”. W przypiływie szoku podniosła rękę z piernikiem, lecz zamiast elegancko go odgryźć, wciśnęła sobie do ust pokaźny kęs akurat w chwili, gdy zamierzała wygłosić tyradę o braku szacunku i niewdzięczności dzieci. Efekt był natychmiastowy. Suchy miąższ ciasta niczym gąbka błyskawicznie wchłonał resztki wilgoci z jej gardła, tworząc tam zaporę nie do przebycia. Chciała krzyknąć, chciała zaprzeczyć, ale fizyka była nieubłagana – z jej ust wydobywał się jedynie suchy, pyłowy gwizd. W końcu, po dramatycznej walce, zdołała odzyskać oddech z głośnym, niemal bolesnym świstem, któremu towarzyszyła chmura imbirowego aromatu.

– Ja... kłamstwa? Raczej wszyscy tu kłamią oprócz mnie – wykrztusiła wreszcie, ocierając usta, podczas gdy na jej gorset posypało się kilka zbłąkanych okruchów. – Rozalio! Jak ty śmiesz... W gardle mi zaschło przez twoją bezczelność! Ty wiesz, że mogłam się udusić przez twój ton?

Jej autorytet, tak pieczołowicie budowany od poranka, prysł. Stała tam, mrugając powiekami i bezskutecznie próbując strzepać okruchy z sukni, podczas